

Feng – shui, prsut i stary piernik

Wyprawa do Słowenii. Matko moja miła, to tak piękny kraj, że aż dech zapiera. Niby część byłej Jugosławii, ale w rzeczywistości kraj żyjący na sposób śródziemnomorski, a nawet włoski, a do tego ma góry o wysokości ponad 2500 m! Nawet w Austrii ciężko znaleźć tyle fur typu BMW 6 czy Audi A8. Ale nic to, powiem wam jak to z wystawą europejską w Słowenii było.

Podróż z Polski, poza przejazdem przez Polskę, była fantastyczna. Autostrady, autostrady i nic więcej. Po wyjechaniu z Czech i wjeździe na autostradę w Żylinie zaczyna się inny świat. Kusi przyciśnięcie gazu i rozwinięcie prędkości 1 Macha, ale wiemy, że Słowacy, Austriacy i Słoweńcy czekają na nasze euro za przekroczenie prędkości, a tam, podobno, dużo to kosztuje. Ogólnie rzecz biorąc: z Warszawy do Żyliny – 7 godzin (400 km), z Żyliny do Ljubljany, gdzie nocowaliśmy, również 7 godzin, tyle, że dystans 2 razy większy. Nasza nawigacja, niestety zawiodła, w Słowenii pokazywała nam tylko autostrady, ale z pomocą mapy kupionej na stacji benzynowej i miejscowych taksówkarzy znaleźliśmy nasz hotel. Hotel to mało powiedziane – kompleks sportowy z kortami tenisowymi pod dachem, basenem i boiskiem do siatkówki plażowej oraz pokojami urządzonymi według zasad feng-shui. Kto nie wie, jak powinien wyglądać pokój urządzone zgodnie z regułami feng-shui wyjaśniam:

1. zasada pierwsza – w pobliżu powinien być kościół, którego proboszcz postanowił zrealizować swoje marzenia o grze na perkusji – przez 15 minut dzwony z kościoła oddalonego o 100 metrów nadawały dźwięki przypominające solo Johna Bonhama z utworu „Moby Dick” (Led Zeppelin dla niewtajemniczonych) w przekładzie na 4 dzwony o różnej wysokości dźwięku – trzeba wielkiej wiary, żeby to wytrzymać
2. zasada druga – w pokoju na wejściu musi zalaatywać szambem, bez tego ani rusz skupić się na roztrząsaniu czy „ying” i „yang” są w równowadze
3. zasada trzecia - nad nami co 20 minut powinien przelatywać samolot, odrzutowy lub śmigłowy, bez znaczenia, ważne, żeby było głośno.

Pozostałych 7 zasad, które spowodują, że nie będziemy zdrowi, piękni i bogaci nie pamiętam.

Hotel, w zasadzie, jest bardzo przyjazny właścicielom psów, ale feng-shui, według powyższych zasad, nakreśla zwierzęta i nasza Dumka odmówiła współpracy na wystawie drugiego dnia pobytu.

My, jako zagorzali sportowcy, zamówiliśmy zaraz po przyjeździe 4 butelki piwa do pokoju i przygotowaliśmy się na wystawę.

Śniadanie, według europejskich (kontynentalnych, nie angielskich) standardów – kawa i półmisek z wędlinami i serem, prawdopodobnie z supermarketu. Gdyby nie prsut (podobno należy wymawiać „pyrszut”), czyli słoweńska szynka, przyrządzana jak słynna szynka parmeńska, pojechalibyśmy do McDonalda. Coś tam skubnęliśmy i pojechalibyśmy na wystawę. 70 km – 40 minut, tego w Polsce nie doświadczysz. Wiadomo – autostrady będą na Euro 2012, a nie na wystawy psów. Pierwszego dnia nie wystawialiśmy się, pojechalibyśmy poszukać partnerów dla naszych suk, ale okazało się, że nie było w czym wybierać. W związku z tym ja spacerowałem z Dumką po wystawie, a Beata robiła zdjęcia potencjalnym kawalerom. Przyglądaliśmy się również sędziowaniu (pierwszego dnia odbywał się Słoweński klub doga, a oficjalnie klub molosa), tym razem mój typ wygrał BIS-a molosów.

Jak zwykle wśród wystawców trafiło się kilka czarnych owiec, czyli opieprzających się wzajemnie małżeństw, wystawców opieprzających swoich tzw. double handlerów, że za mało się wykazali, czy też wystawców obrażających się na swoje psy za to, że nie podniosły głowy we właściwym momencie. Wiadomo, każdy lubi wygrywać, ale wielu zapomina o tym, że psy to też ludzie i swoje humory mają. Przyznaję, że w porównaniu do wystawy w Zagrzebiu trzy lata temu, było luźno, pięknie i stosunkowo bezstresowo, psy miały dość dużo miejsca, ringi były duże i nikt nikomu nie wlaził na głowę. Ja z Dumką (czyli popularnie zwaną Dupą) poszliśmy do samochodu wypocząć i podzielić się wrażeniami z wystawy, przy czym ja się dzieliłem, a Dupa spała z głową na moich kolanach.

Po godzinie wróciliśmy na wystawę, Dupa poznała kilku nowych chłopaków, a ja nie poznałem żadnych nowych dziewczyn. Przyszła pora na obiad. Nie radzę żywić się na wystawie. Ceny są z Włoch, a dania z poligonu. W jednym z tzw. punktów gastronomicznych pani nałożyła mi łapami kotlet i szaszлык i tymi samymi łapami przyjęła ode mnie pieniądze, nie wiem, czy po drodze nie wytarła sobie nosa. Chciałem podzielić się z Dupą szaszлыкiem, ale Beata powiedziała, że mogę otruć psa, więc zaniechałem. 70 km – 40 minut (czepiam się, ale tam wydaje się to normalne) i byliśmy w hotelu. 6 piw i lulu.

Ponieważ następnego dnia miała być wystawa europejska wstaliśmy wcześniej i wyjechalibyśmy

z hotelu przed śniadaniem. Znowu przyczepię się do drogowców (z którymi jestem zawodowo związany) – 40 minut i byliśmy 70 kilometrów dalej. Tym razem mieliśmy się wystawiać, ale Dupa nie wykazywała już takiego entuzjazmu, jak poprzedniego dnia. Być może sprawiła to wszechobecność psiego gówna na terenie wystawy (wielu wystawców sprząta po swoich psach tylko wtedy, gdy przykupią na ringu), a być może ogólne zmęczenie podróżą i feng-shui (dzwony i odrzutowce). Również ring był znacznie mniejszy, a jak się później okazało, z Dupą w klasie wystawiało się 13 suk, ponadto ktoś tak przygotował ring, że na zakrętach psy ślizgały się na betonowej posadzce hali. Ogólnie rzecz biorąc, Dupa była wystraszona, ale i tak osiągnęła bardzo dobry wynik. Jak powiem, że nie miało to większego znaczenia, to i tak nikt nie uwierzy, bo, jak już wspomniałem, każdy chce wygrać, ale było kilka suk, które były co najmniej tak samo ładne jak Dupa i nie czują się rozczarowane. Rozczarowała mnie za to kawa za 2 euro – do plastikowego kubeczka wiano mi 1/3 pojemności o smaku wody z tytoniem, podczas gdy w stałych kawiarniach na terenie wystawy za 1 euro można było dostać całkiem niezłą kawę z mlekiem. Ostrzegam jeszcze raz – jak najdalej od przenośnych punktów sprzedaży na wystawach, chociaż czynię wyjątek dla sprzedawców kawy na klubowej wystawie dogów w Łodzi w tym i w zeszłym roku.

Tym razem nie skorzystaliśmy z wątpliwej jakości gastronomii na wystawie i pojechaliśmy do hotelu. Po drodze postanowiliśmy zatrzymać się w restauracji niedaleko hotelu. Wąskie wejście, proste stoliki, zapach potraw (ale nie taki polski, śmierdzącego smalcu i kapusty, ale ziół i sera) i zostaliśmy na obiad. I była to bardzo dobra decyzja: ja zezarłem szopską salatkę i tortellini zapiekane z serem, a Beata spaghetti z frutti di mare. Pyszne, chociaż ceny w euro, ale znośne. Polecam przy tym porozumiewanie się ze Słowęcami po polsku, bo najważniejsze słowo, czyli „piwo” brzmi dokładnie tak samo w naszych językach.

Po powrocie do hotelu piwo (x 6) i lulu w towarzystwie telewizji (dzwony i samoloty w tle) – tu zaskoczenie, na ogół w hotelach za granicą mamy do dyspozycji kilka kanałów z wszechobecnym RTL po niemiecku i stacje lokalne, a tu 180 kanałów, w tym HBO, Discovery i inne fanaberie bez dubbingu. Dzięki tej telewizji obejrzałem film z Charile Sheenem, którego wcześniej nie uświadczylem w polskiej telewizji.

Ostatniego dnia pozwoliliśmy sobie na wstanie o nieco późniejszej porze i z radością poszliśmy na śniadanie. Jakież było nasze zaskoczenie, kiedy okazało się, że mamy przed sobą ten sam półmisek wędlin z uzupełnieniami w miejscach, które wyjedliśmy pierwszego dnia. Może to tylko tak wyglądało, ale mam wrażenie, że nie było gości poza nami i dostaliśmy to samo, tyle, że o dwa dni starsze. Lubię jedzenie, zwłaszcza rano, i wkurza mnie, kiedy ktoś próbuje mi wmówić, że zdrowo znaczy mało.

Jak zwykle nie odmówiliśmy sobie przyjemności zakupów w lokalnym markecie. Wszystkim polecam prsut, o jakości serów słoweńskich opowiem po ich skonsumowaniu, podobnie jak o zupie „jota”.

Na pocieszenie po przekroczeniu granicy z Austrią kupiliśmy sobie kanapki ze sznyclem (polecam tzw. raststation na terenie Austrii, jedzenie wyborne, zarówno na zimno jak i na gorąco), wino i piwo, spotkaliśmy tam również, wszechobecne na świecie, wycieczkę Japończyków, zrobiliśmy kupę Dupą i pojechaliśmy dalej. Czar Europy prysł po wjechaniu do Bielska – Białej: Ljubljana – Bielsko – 7 godzin (800 km), Bielsko – Warszawa – 7 godzin (350 km).

Hwała ljepla!

Radość 02.10.2010